

Wstęp

**Hongkong – Makau – Kambodża – Tajlandia – Malezja – Indonezja – Singapur –
Brunei**

Trzy miesiące.

Aż trzy i tylko trzy.

Dlaczego właśnie tam?

Bo jakieś trzydzieści parę lat temu usłyszałam, a raczej przeczytałam, że gdzieś tam, w kambodżańskiej dżungli, może wtedy jeszcze w kampuczańskiej, istnieje odkryty w połowie XIX wieku niezwykle kompleks świątyń. Angkor. W XX już wieku wydarty z objęć dżungli. Częściowo. I ciągle wyrywany. I ciągle dżunglą zarastający.

Kiedyś to zobaczę.

Tylko ciągle mi było nie po drodze.

Kiedy jednak w końcu nadszedł czas na dotrzymanie danego sobie słowa (kiedyś to zobaczę!), do głosu doszedł rozsądek (czy to aby na pewno był rozsądek?): skoro już tam się pcham, to dlaczego nie zobaczyć – przy okazji – czegoś jeszcze?

Tylko co wybrać?

Jawa, Sumatra, Bali, Komodo, Borneo?

Hongkong, Kuala Lumpur, Bangkok, Dżakarta...

Kiedyś symbole odległości i egzotyki. Teraz, w czasach globalnej wioski, właściwie nic nadzwyczajnego. Tym bardziej: dlaczego tam nie pojechać?!

Plan ustalony. Bilet kupiony. Komu w drogę...

(...)

Popularnym celem wypraw z Kota Kinabalu jest góra Kinabalu, najwyższy szczyt (4095,2 metrów n.p.m.) Borneo i całego Archipelagu Malajskiego. Około 90 kilometrów od stolicy. Zdobycie szczytu zajmuje dwa dni, pierwszego dochodzi się do schroniska znajdującego się na wysokości 3272 metrów, na drugi dzień wspinaczkę rozpoczyna się o

godzinie drugiej w nocy, aby na szczycie przeżyć wschód słońca. Uczestnikom corocznego międzynarodowego wyścigu Climbathon, najtrudniejszego na świecie wyścigu górskiego, zajmuje to około trzech godzin. Długość szlaku na szczyt wynosi 8,5 kilometra przy 2300 metrach różnicy wysokości. Tyle że w dużej części poza granicą, do której oddychanie nie sprawia problemów. Myślę, że mimo wszystko dałabym radę, ale nie bardzo już chce mi się ugadywać z przewodnikami, tragarzami. Jestem wśród tych osiemdziesięciu procent wizytujących Park Narodowy Kinabalu, którzy na szczyt nie wchodzi.

Park Narodowy Kinabalu to 750 km² (prawie tyle, co powierzchnia Singapuru) tropikalnych lasów równikowych, niezdojrziałych dolin i nieprzebranych urwisk. Dostępne są tylko szlaki prowadzące na szczyt oraz turystyczne ścieżki po przeciwległej stronie masywu – w miejscu występowania gorących, siarkowych źródeł mineralnych, które przed laty dały asumpt do powstania Poring Hot Springs, Bambusowych Gorących Źródeł, jako że *poring* to lokalna nazwa bambusowych drzew porastających okolicę. Wioska istniała, wybudowano rodzaj ośrodka z miejscami hotelowymi o wyższym standardzie niż w wiosce i z wyłożonymi niebieskimi kafelkami basenami o wiadomym przeznaczeniu. Skoro są gorące źródła, trzeba to wykorzystać!

Skoro zatem odpuszczam sobie zdobywanie szczytu, celem mojego spotkania z górą Kinabalu czynię właśnie Poring Hot Springs. Główną atrakcją przybywających tutaj jest zawieszona na wysokości 41 metrów kładka poprowadzona w koronach drzew. Pojedyncze deski o szerokości kilkunastu zaledwie centymetrów zawieszone na stalowej konstrukcji w kształcie litery V tworzą ścieżkę długości 157,8 metrów. Na szczęście chronioną metalową siatką – inaczej wątpię, czy cieszyłaby się taką popularnością. Poszczególne jej odcinki zbiegają się przy platformach wokół grubszych drzew, tutaj można złapać oddech, nie tyle z powodu trudności, ile raczej z powodu chwiejności i niestabilności ścieżki. Ale za to można sobie wyobrazić, jak to jest, gdy mieszka się wysoko nad ziemią. A między gałęziami latają i świergołą jakieś ptaki, po korze pni pełzają robale, na stalowych linach przysiadają motyle...

Niedaleko podniebnej ścieżki niewielki wodospad Kipungit. Tutaj kończy swoją przygodę z Kinabalu większość turystów. Ale przecież dopiero zbliża się południe, ale przecież tam dalej, niespełna 3,5 kilometry dalej, następny wodospad. Jak podaje drogowskaz – to tylko 2 godziny drogi.

Biorę poprawkę na swoje podejście do górskich spacerów – nie będę się ścigać. Potrzebuję trzech godzin w górę, z powrotem wystarczy 1,5 godziny, może nawet godzina. Zatem mam wystarczająco dużo czasu, żeby zejść do wsi za dnia.

Wzdłuż całkiem stromej ścieżki bambusy i bananowce, między drzewami prześwity ze wspaniałymi widokami na pobliskie wzniesienia, na wieś w oddali. Po ścieżce pełzają krocionogi, w mijanych jaskiniach popiskują i furkoczą skrzydłami nietoperze. Pokryte mchem są głązy tworzące jaskinie, wystające z ziemi korzenie drzew, powalone pnie, połamane konary i nieprawdopodobnie poskręcane liany.

Kolejny, niewielki wodospad i kolejny strumień przegradzający moją ścieżkę. Zarówno ten, jak i poprzedni, teraz, w porze deszczowej, są zbyt głębokie, żeby po kamieniach przejść suchą stopą na drugą stronę. Nie ma wyjścia, sandały pod pachę, klapki na stopy (żeby chociaż trochę ochronić je przed ostrymi kamieniami skrytymi w wodzie) i już jestem na drugim brzegu. A że jakieś dwa czarne potwory wiszą mi u pięt!

Pijawki? Chyba „to” trochę za „szczupłe” jak na pijawki, ale kto tam wie, w ilu rodzajach może to „bydle” występować! W zakamarkach rozumu kołaczę mi się zdobyta kiedyś wiedza, że nie należy ich odrywać, lecz posypać solą i poczekać, aż same odpadną.

A skądże ja mam wziąć tutaj sól?!

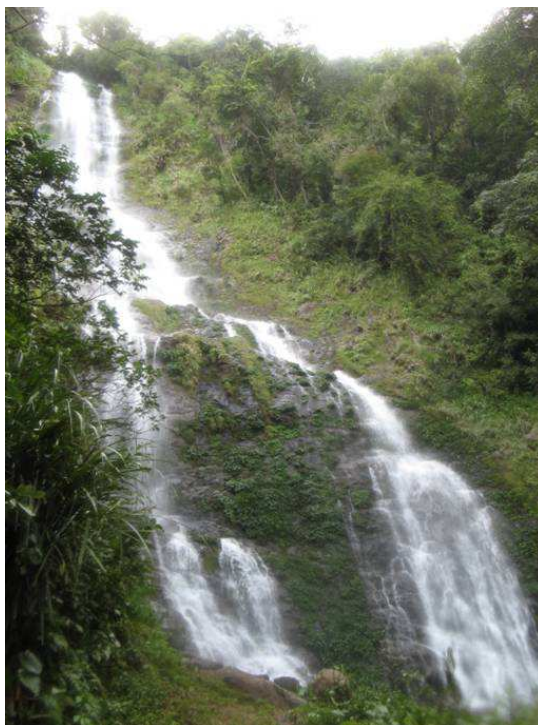
Potwory wróciły do swojego naturalnego środowiska, nie wnikać, czy żywe, czy martwe, na moich stopach pozostały krwawe ślady. Przeżyję?!

Wodospad Langganan wita mnie głośnym szumem i mgiełką milionów wodnych drobin tworzonych przez lawinę wody spadającej z wysokości 120 metrów i rozdzielającej się w połowie wysokości na dwie kaskady. Moje ubranie i włosy są wilgotne, trudno zrobić zdjęcie, bo obiektyw momentalnie jest mokry, ale co tam! Wsłuchuję się w szum wody i śpiew ptaków! To jedyne odgłosy, zero ludzi – co rzadko zdarza się w tak fascynujących miejscach.

Jak tu cudnie! Czy ja jestem jeszcze na ziemi, czy już w raju?

Nie mogłam zrobić sobie lepszego prezentu w dniu 60. rocznicy urodzin!

W nieskończoność przedłużam spotkanie z wodospadem, ale muszę wracać. W końcu figuruję w rejestrze strażników parku narodowego i jeśli nie wrócę, gotowi zacząć szukać jedynej turystki, która dzisiaj wybrała się do wodospadu Langganan.



A skoro o panach strażnikach mowa. Kiedy rano uiszczałam opłatę za wstęp do parku narodowego i zapytałam o ewentualne zniżki dla 60-latków, szczególnie tych, którzy właśnie w tym dniu mają rocznicę urodzin, dostałam bilet dla dzieci i młodzieży do lat 18 – bo innych zniżek nie przewidzieli, a chcieli mi zrobić przyjemność. Cóż, życie zaczyna się po...